Rozmaitości

Dnia 30. Stycznia Nr. 5. Roku 1841.

KOLEJE LOSU RENEGATA.

(WYPIS Z PAPIERÓW PO NIM POZOSTAŁYCH.)

PRZEZ PANA GROS-HOFFINGER.

(Ciąg dalszy.)

»Więc to jest prawda«, rzekłem z boleścią, gdy przestał mówić, »że ktokolwiek mnie sprzyja, zgubionym być musi! Dla tego zaledwie śmiém w anielskiéj duszy Heleny, żywić miłość ku mnie. Nawet jéj nie odwidzę, sam znosić będę moje nieszczęsne przeznaczenie.«

»Czyliż sądzisz, iż przezto Helena mniéj nieszczęśliwą będzie?« odrzekł Mustafa. »Ona cię kocha całą mocą duszy swojéj, i może na nieszczęście swoje do zgonu kochać nie przestanie. Jéj charakter jest nieugięty, sam nawet ojciec oporu stawić jéj nie zdoła. Zniweczyła wszystkie jego zabiegi wydania ją za mąż, i obrała sobie klasztor za mieszkanie. Postanowiła oddać się świętéj usłudze Chrystusa; lecz mam nadzieję, iż ją na inne nawiedziesz myśli; jestem bowiem pewien, iż pobożność jéj jest skutkiem miłości ku tobie.—Nie będzie trudno widzieć się z nią tobie — odwidza często matkę twoje, sama jedna i w ubiorze, w którym nikt się jéj nie domyśla. Obiedwie zdają się mieć nadzieję, a może i pewność, żeś ty jeszcze przy życiu, gdyż obiedwie pytają mnie ustawicznie o ciebie, i zapewnieniom Ibrahima żadnéj wiary nie dały. Szczególniéj twoja matka nalegała na mnie, utrzymując, iż jéj sztuka wróżbiarska, cały twój los przed nią wyjawiła.«

Słuchając tego opowiadania, rzęsiste łzy puściły się z mych oczu. Dałem się łatwo przekonać, iż mi nie godzi się opuszczać Heleny, gdy dusza jéj tak mocno do mojéj przylgnęła. Moja namiętna miłość zaczęła na nowo zamieszkiwać serce moje, a to tém bardziéj, iż Heleny wdzięki, jak mi to Mustafa opowiadał, były na dobie najpiękniejszego rozkwitu. Nie mniejsze i ku matce mojéj czułem dziecięce przywiązanie i dla tego bez wahania się postanowiłem usłuchać rady mojego przyjaciela. Jednakże piérwszą moją czynnością było przyczynić się do polepszenia losu Mustafy; dałem mu połowę uzbiéranego mego majątku, przezco był już w stanie znowu swój *Bezestan* urządzić.

Tym sposobem zdawało się mi, iż plan mojego życia powiódł się mi zupełnie: widziałem moje szczęście zabezpieczone. Helena kocha mnie, mówiłem sam do siebie, jéj ojciec cieszyć się będzie, iż córkę swoję wyda za znakomitego Muzułmana, który postanowił nie miéć jak tylko jednę żonę, i być jéj wiernym aż do śmierci. Niemylną była moja rachuba i niechwiejne postanowienie do wykonania mego zamysłu; piękna nagroda za moje czyny już się uśmiéchała do mnie, jak rajski owoc na drzewie mego życia.

Podczas tak uroczo pochlebnego nad moim losem dumania, zbliżyłem się wieczorem do pomieszkania mojéj matki. Otworzyłem drzwi z-cicha i ostrożnie, abym nagłém wnijściem i o téj porze nie stał się przyczyną przestrachu szanownéj matronie. Późne te odwidziny oburzyły ją z-razu,

lecz gdy spostrzegła przed sobą człowieka w ubiorze znakomitego Muzułmana, zapytała uprzejmym głosem: kto jestem i czego o tak późnéj dobie od ubogiéj żądam Greczynki? Długo trzymałem w nią wzrok wlepiony, a wzruszony do żywego, ani słowa wyrzéc nie mogłem. Spostrzegłem, iż ciało jéj na tuszy przybrało, ale chorowita nabrzmiałość twarzy i mdłe jéj oczy zapowiadały mi, że się już zwolna do zgonu zbliża.

»Czemużto tak ostro patrzysz na mnie panie?« zapytała po chwili. — »Ten przenikliwy wzrok twój nabawia mię przestrachem, gdyż mi jednego z umarłych w pamięć przywodzi.«

»Uspokój się szanowna niewiasto«, odrzekłem, »mnie lękać się nié masz żadnéj przyczyny. Przyszedłem tylko zasiągnąć u ciebie mądréj rady. Słyszałem, że jesteś sławną wróżką i przyszłość przepowiadasz, a że teraz właśnie jadę na wojnę, życzyłbym sobie dowiedzić się, jaki los mnie czeka?«

To rzekłszy, położyłem dla niéj na stół kiesę z piastrami i wyciągnąwszy ku niéj drżącą rękę, prosiłem, aby mi z niéj los mój wywróżyła. Moja matka wpatrzyła się z natężoną uwagą w dłoń moję, poczém podniosłszy ciężką kiesę z podziwieniem ze stołu, i położywszy ją w milczeniu na uboczu, zaczęła w przerywanych ustępach wygłaszać następujące słowa:

»Jesteś dzieckiem nieszczęśliwych rodziców.«

»Jestem.«

»Ojciec twój zginął okrutną śmiercią.«

»Zgadłaś«, rzekłem.

»Widzisz, iż przeszłość twoję znam tak dokładnie, jak przeszłość mego własnego dziécięcia.«

Sądziłem już, że mnie poznała, lecz zaczęła znowu na moję dłoń patrzyć wzrokiem badawczym. Przerwałem jéj uwagę zapytaniem: czy ma téż jakiego syna?

»Mam« odrzekła: »Bóg mnie ukarał dziécięciem, które na mnie wielkie sprowadziło nieszczęście. Syn mój chodzi złémi drogami i właśnie wczoraj wyczytałam moją sztuką wróżbiarską, iż go nieszczęsna gwiazda znowu w mój dóm sprowadzi.«

»Spodziéwam się, iż cieszyć się będziesz, gdy go po długiém ujrzysz rozłączeniu, gdyż człowiek kocha najbardziéj odzyskaną stratę.«

»A któż ci powiedział, panie, żeśmy długo rozłączeni byli?« zapytała mnie matka z oburzeniem; »wyrodny syn nie rozweseli serca matki, pobożna matka nosząca pod swém sercem przeklęte dziécię, stara się pozbyć swego ciężaru i cieszy się, gdy na wieki z nim się rozstanie. Prędzéj się niebo z piekłem pogodzi, niż się moje serce macierzyńskie z moim synem połączy. Wiedz o tém cudzoziemcze, żem wydała na świat upiora, który miłością swoją zabija.«

Na te słowa westchnąłem. Czas jeszcze nieuléczył jéj zaciętości, pomyśliłem sobie, nié ma sposobu pozyskania jéj pomocy. W tymże samym czasie, gdym przemyśliwał jakimby datkiem skłonić ją w mój zamysł pozyskania ręki Heleny, zaczęła badać z wielką uwagą przyrodne znaki na mojéj dłoni.

»Los twój panie, jest bardzo zawiły. Wiele niebezpieczeństw krzyżuje się po linii twojego życia. Tylekroć spotyka się na niéj sława i szczęście, ilekroć hańba i niedola. Jeżeli to wszystko co widzę mnie nie myli, uczynisz wielu nieszczęśliwymi w krwawém twojém rzemiośle a sam —«

To rzekłszy, nagle umilkła. Bądź, że spostrzegła moje wzruszenie, bądź żem ją niezręcznem mojém zapytaniem na domysł naprowadził, bądź téż, że istotnie wyczytała to w tajemnéj sztuce, z któréj bardzo słynęła — dosyć na tém, iż nagle okropnym przestrachem zjęta, zawołała głosem przeraźliwym, głosem, który i w godzinę śmierci mojéj słyszéć będę:

»Nieszczęśliwy! Tyś moim synem, tyś Boga swego odstąpił.« —

»A jeżeli synem twoim jestem, matko«, rzekłem, ująwszy ją dziko za obie ręce i trzymając je z całéj mocy, »jeżeli nim jestem, nie lękasz-że się nieludzką swoją nienawiścią ku mnie oburzyć na siebie cieniów mojego ojca i ściągnąć na głowę swoję pomstę nieba? Wierzaj mi, iż sposób ten, jakim po długiém rozłączeniu przyjmujesz w rodzicielskim domu jedyne twoje dziécię, wyzywa z piekieł wszystkie nieczyste duchy i jak ojcobójstwo woła o zemstę do nieba!«

Słowa te wymówione z zapałem dzikiego uniesienia, obudzone przez nie w mojéj matce zabobonne wyobrażenia, i moje gniewem błyskające oczy, sprawiły tak mocne na niéj wrażenie, iż zaczęła drżéć na całém ciele i przerywanémi słowy gniew mój uśmierzać.

»Andrzeju, możeszże ty miotać klątwę na matkę twoję?« rzekła łagodnym, proszącym głosem, »nie jestżem już dość nieszczęśliwa, iż na starość moję, podobnie jak ptak nocny wieść muszę moje życie w pogardzie i opuszczeniu, podczas gdy ty w zbytkach i rozkoszy opływasz?«

Już zacząłem żałować słów wyrzeczonych, litowałem się uprzedzenia nieszczęśliwéj i postanowiłem puścić w niepamięć jéj nienawiść, jako skutek jéj pojęć obłędnych. — Łagodnym przedstawieniom moim, a szczególniéj moim hojnym datkom powiodło się nareszcie ułagodzić

w niéj wstręt od renegata i utorować sobie drogę do niejakiéj życzliwości w jéj sercu. Jednakże mając mnie za wyklętego, podawała się szlachetniejszym uczuciom swoim z największą ostrożnością, by nie doznać losu podobnego tym, którzy byli nieszczęśliwymi przez to, że ku mnie przywiązanie swe okazywali. Głos o sławie Achmeda, w którym swego syna poznała, przyczynił się także niemało do ułagodzenia jéj umysłu. Wszczęła się między nami oschła rozmowa, w której dowiedziałem się: że Helena za mną tęsknić nie ustawała; że Ibrahim przemocą wydarł jéj bukiet, i że jéj żadnéj o mnie nie dał wiadomości; że sam mocno się w niéj zakochał; że dla pozyskania jéj wzajemności używał podstępu, groźby i przyrzeczeń, lecz pogardę w odpowiedź otrzymał; że Helena nie wié bynajmniéj o moim losie; że się mocno lękała, abym na muzułmańską religiję nie przeszedł; że każdą raza gdy tę obawę wynurzała, rzęsistemi łzami zaléwała swoje oczy. Wszystkie te wiadomości nagliły mnie i stały się niezbędną potrzebą widzenia się z Heleną. Jakkolwiek matka moja nalégać na mnie nie przestawała, abym znowu na łono prawdziwego kościoła powrócił, przecież wymową moją dokazałem tego, iż nareszcie przestała na to nastawać. Przedstawiłem jéj, iż tak moje jak i jéj szczęście od mojego wytrwania przy ustawach Machometa zależy. Nadzieja używania mych bogactw nadała jéj nawet umysł spokojniejszy.

»Widzisz Andrzeju«, rzekła do mnie z dobrocią, »ja nie kocham cię tak jak inne matki swoje dzieci kochają, bo ty jesteś tylko dziécię mojego ciała, ale nie dziécię mojéj duszy. Z tém wszystkiém zanoszę codziennie modły do Boga, aby ciebie, jeżeli to być może, bez narażenia mnie na zgubę, z piekielnéj przepaści wybawił.«

Po tém szczérém wyznaniu skłoniła się nareszcie do popiérania mojéj pomyślności doczesnéj i oświadczyła, iż mi dopomoże widzieć się z Heleną. Wyznaczyła mi na drugi dzień godzinę, w której u niéj być miała.

Rozmowa moja z Heleną była bolesna. Nie będę odnawiał tych ran, które widzenie się to sercu memu zadało; powiém tylko, iż Helena pobożna Chrześcijanka wyrzekła się miłości renegata i nie chciała już więcéj z nim się widzieć.

Wielki Wezyr nie dał mi czasu ani do gniewu, ani do wzdychań miłosnych; rozesłał bowiem do wszystkich dowódzców rozkazy, by nazajutrz w pochód byli gotowi, uwiadamiając, że chociaż wypowiedzenie wojny ze strony Wysokiéj Porty poprzedziło kroki nieprzyjacielskie, nieprzyjaciel nie był także opieszałym w swych uzbrojeniach. Byłoto dla mnie niejaką ulgą w udręczeniu, iż miałem powód do odłożenia na czas późniejszy moje ubieganie się o rękę Heleny. Zacząłem brać moje obowiązki i moje powinności na szalę, moje przeszłość i przyszłość na rozwagę, ale nadaremnie, doznawałem jakiejś niezgody, jakiegoś przeciwieństwa w moich uczuciach i wyobrażeniach.

Błagałem Boga, by mi zesłał promień prawdy z nieba, któryby mnie w tym zamęcie oświécił, lecz niestety, coraz większa ciemność mnie oblęgała! Droga moja była już wytknięta, a stosunki moje w jéj obręb mnie wciskały. Wszystkie ścieżki do wyboczenia, były już obsadzone duchami zemsty, przeznaczenie gnało mię widocznie w kres wyznaczony — los mój był już wyciągnięty i na niezmiennéj karcie w niebie zapisany. Konieczność utwierdziła mnie w dobrowolnie przedsięwziętym zamiarze żyć i umiérać na polu sławy. Za nadejściem wieczora, gdym z głębokiém westchnieniem dopełnił ostatniéj powinności mojego powołania, zacząłem myśléć o Helenie. Mając jéj obraz w sercu, jakże płonne, jak nikczemne wydały się mi obok niego wszystkie rozkosze dumy i wyniosłości! Uczułem, iż miłość moja była świętszą i szanowniejszą, niż wszelkie pobudki do bohatérskiéj sławy. Wzruszony do żywego żałośném przypomnieniem słodkich uczuć wzajemnéj miłości, wdziałem na siebie w przedjutrze mego odjazdu ubior lutnisty i śród milczącéj nocy, udałem się pod cień cyprysów, które kijosk Heleny otaczały. Już wszystko w głębokim śnie spoczywało i prócz kwilących słowików żadnego głosu słychać nie było. Zbliżywszy się więc przez znane kręte aleje pod okna Heleny, zamyśliłem zanucić pieśń pożegnalną, aż oto zarazem spostrzegłem ciemną postać jakiegoś człowieka zbliżającego się do gaju, ocieniającego swojém liściem okna kijosku. Stanąwszy jak słup wryty, czekałem w największém milczeniu jaki koniec wezmą te odwidziny podejrzane. Lekki znak dany przez nieznajomego, wyprowadził mnie z niepewności; otworzyło się w kijosku okno, a w niém oglądając się na około lękliwie, ukazała się Helena.

»Tyśto Ibrahimie?« szepnęła cicho z nieśmiałością.

»Ja to jestem urocza gwiazdo moja! Spodziéwam się, że mnie ubłożysz promieniami swémi! Okrutna, jak mogłaś tak długo dręczyć swym uporem stęsknione serce moje! Otworz czémprędzéj drugie skrzydło okna, i nagródź mi swoje przewinienie.«

Na te słowa jął nieznajomy wdzierać się po konarach drzewa do kijosku, a gdy się już do okna zbliżył, Helena pchnąwszy go całą mocą

w piersi, straciła na ziemię; niedość na tém, odważna Greczynka dobyła z zanadrza pistoletu i rzekła groźnym głosem:

»Nierozsądny zuchwalcze! Toż sądzisz, iż gołąb' do drapieżnego zwiérzęcia twego rodzaju, zbliżyć się może bez zaopatrzenia się w szpony sokoła? Skoro raz jeszcze poważysz się zbliżyć do mnie, natychmiast trupem padniesz. Trwoga śmiertelna była twoim swatem, niechże trwoga śmiertelna będzie pośredniczką pomiędzy nami. Ty jesteś skrytobójcą i grozisz, a że ja twoim groźbom wierzę, dla tego przyszłam tu na twoje wezwanie, aby się dowiedzieć, za jaką cenę okupić mam życie drogiéj dla mnie osoby. Wiém o zamachach twoich na życie Achmeda, i wiém kto jesteś.«

»Dobrze więc«, odrzekł Ibrahim podnosząc się z ziemi, »ponieważ twoje serce równie jest nieugięte jak i moje, więc ułożę się z tobą w taki sposób, jaki zemście mojéj przystoi. Dla mnie jest wszystko jedno, kto twoje serce pozyskał. Dowiédzże się tedy, że ja wszelkiémi sposoby nastaję na życie twojego ulubieńca, i że nic w świecie przed moją nienawiścią ocalić go nie zdoła, jak tylko jedna uległość twoja.«

»Zamilcz nikczemniku!« odrzekła Helena w największym gniewie, »nie waž się powtórzyć haniebnych słów twoich, albo na Boga, jednéin poruszeniem palca uwolnię świat od potworu.«

»Uczyń co się tobie podoba«, odrzekł Ibrahim, unikając bojaźliwie wymierzonego pistoletu. »Opuszczam cię, ale pamiętaj, że zemsta moja spoczywać nie będzie i bądź przekonana, że każdy krok oddalenia się mego jest krokiem do twojéj i twego zalotnika zguby.«

Między niespokojnością i trwogą chwiała się Helena, chciałem już wypaść i sztyletem przeszyć złoczyńcę, lecz tak uroczysta i schlébiająca miłości mojéj chwila, w podziwieniu kroki moje trzymała. Chciałem jeszcze być świadkiem postanowienia Heleny, a potém całą scenę zakończyć. Kiedy o to Helena rzekła łagodnym głosem do swego dręczyciela:

»Zostań Ibrahimie! Jeszcze jest jeden środek zagodzenia téj sprawy. Przystąp bliżéj, niech rozmowy naszéj żaden świadek nie słyszy.«

Z radością poskoczył Ibrahim i przychylił się z pochlébną nadzieją tak blizko, że jéj tchnienia dotykał,

»Nadaremném byłoby usiłowaniem wzruszyć twe serce. Będę więc mówić o twojéj zemście. Za ochranianie Achmeda żądasz nagrody, na którą ja zezwolić nie mogę. Wiédz o tém, że ani dla ocalenia mego życia ani dla ocalenia życia Achmeda, honoru mego nie poświęcę. Jednakże uczynię zadosyć twojéj zemście; Achmed nad tobą tryjumfować nie będzie. Pytam cię Ibrahimie, odstąpiszże swego przedsięwzięcia, jeżeli ci przysięgnę, że spółzalotnik twój nie więcéj u mnie uzyska jak ty sam zyskałeś? Jeżeli jeszcze iskra ludzkości płonie w twém sercu, nie odmawiaj mojéj prośbie. Niebo zleje na ciebie błogosławieństwo swoje, jeżeli tym sposobem zaspokoisz swą zemstę. Ja moje życie w klasztorze zakończę.« To rzekłszy, złożyła w błagający sposób ręce; Ibrahim korzystając z téj chwili wskakuje na poręcz, wyrywa jéj z ręki pistolet, i dobywszy sztyletu, rzuca się na struchlałą dziéwicę.

»Jeżeli jedno słowo wymówisz, już po tobie!« rzekł z szyderskim uśmiéchem do zalęknionéj: »teraz jam mocniejszy.«

Tu wypadam z za krzaka, chwytam go za ręce i rozbrajam. Wdzięcznym wzrokiem spojrzałem na Helenę, która z krzykiem na ziemię padła. Przyłożywszy pistolet do piersi Ibrahima rzekłem: »Jeżeli ci o życie chodzi, pójdź za mną!«

Ibrahim nie był wolny od zabobonu. Uczuwszy nagle cudze ramię na swoim karku i spostrzegłszy groźne moje spojrzenie, zadrżał na całém ciele i poszedł za mną jak odurzony. W kilka chwil wyszliśmy z ogrodu dragomana i udaliśmy się przez wyludnione ulice ku najodleglejszym okolicom przedmieścia. Na obszérnym, trawą zarosłym i kilką drzewami otoczonym placu, oddalonym od ludzi, przerwałem głębokie milczenie i puściłem mojego przeciwnika. Księżyc świécił tak jasno, żeśmy obadwaj wyraźnie widzieć się mogli.

»Ibrahimie«, rzekłem, gdyśmy stanęli na miejscu, »plac ten jest bardzo dogodny, światło księżyca dozwala nam zupełnie użyć broni, którą obadwaj zaopatrzeni jesteśmy. Ty umiész równie jak i ja robić szablą, gdy więc gindżał i pistolet rzucę od siebie, pozostaniemy obadwaj tylko przy szabli, a ta niechaj rozstrzygnie. Wyzywam cię na pojedynek, a że ty przez skrytobójcze zamachy na moje życie, już dawno na karę śmierci zasłużyłeś, więc nie pozwalam ci ani na chwilę zwlékać walki.« Nikczemnik ten zamiast odpowiedzi, chciał się z mych rąk wywinąć, lecz ja wziąwszy go całą siłą za piersi, rzekłem: »Niech Ałła będzie świadkiem moim. Przysięgam, że mi nie ujdziesz ztąd żywy, chyba, że mnie w otwartym pojedynku śmierci oddasz!«

Mój chytry współzalotnik spostrzegłszy, że ucieczka jest niepodobną, udał, iż na wezwanie moje przystaje; ale zaledwie żem go z ręki puścił, już się na mnie z gołą szablą rzucił,

nim jeszcze mojéj dobyć zdołałem. Tylko szczęśliwém uchyleniem się, uszedłem tego nowego zamachu. W okamgnieniu wszczęła się zacięta walka, która z obu stron toczona nieuważnie, głębokie nam rany zadała. Nakoniec powiodło się mi silném odbiciem rozbroić Ibrahima i powalić na ziemię. Pokonawszy go tym sposobem, przygniotłem mu piersi kolanem i rozpruwszy mu szablą kaftan, rzekłem do niego: iż mu życie daruję, jeżeli mi paprzysięże, że odstąpi Helenę i skrytobójczym sposobem na moje życie więcéj już nastawać nie będzie.

»Ałła«, rzekłem, »jest moim świadkiem, żem walczył z tobą za dobrą sprawę. Na twojém ciele naznamionowałem cię krwawém piętném hańby, niech ci to służy na pamiątkę przysięgi!«

Po tych słowach wygłaszałem mu okropną przysięgę, którą on z pośpiechem i jęczącym głosem błagając o życie swoje za mną odmówił, poczém puściłem go wolno. Ale nim jeszcze wstał z miejsca, już nas otoczył oddział Jańczarów, którzy naszemu pojedynkowi się przypatrywali. Pijany Aga przystąpił do nas dla wzięcia pod straż burzycieli pokoju; zwrócił on baczność swoje szczególnie na Ibrahima.

»Miéjcie się na ostrożności, aby wam ten nikczemnik nie uszedł«, rzekł z powagą do swoich ludzi, »łotr ten chciał skrytobójczo zamordować walecznego Muzułmana. Każę ja mu sto batogów wyliczyć w pięty, niech się nauczy, jak prawemu człowiekowi w uczciwym pojedynku czoło stawić należy! Przysięgam na brodę proroka, iż gdybym ja był na miejscu tego dzielnego młodzieńca, byłbym od razu przeszył to zajęcze serce. Przeto radzę ci mój synu, (rzekł do mnie), któryś się przebrał w tę błazeńską szatę, uchodź póki czas z tego miejsca, nim ci jako urzędnik drogę zajdę.« — Znając chytrość Ibrahima, i obawiając się, że jakowym datkiem łatwo się z tego kłopotu wywinie, usłuchałem rady Agi, i uszedłem nim mnie poznano. Co do Ibrahima, nieugięty Aga na żaden sposob puścić go nie chciał, aż pokąd swego nie wymienił nazwiska. Nazajutrz po całym Stambule rozeszła się wieść o naszym nocnym pojedynku i doniosła się aż do samego wielkiego Wezyra.

IV.

Zaledwie tylko wschodzące słońce zaczęło złotym promieniem zwiastować pogodny ranek, już wielki ruch w całym panował Stambule. Koszary, ulice i publiczne miejsca, równie jak wszystkie przyległe włości były przepełnione zbrojnémi ludy, przybory wojenne szły długim łańcuchem wozów w różne kierunki, pod działami ciężkiego wagomiaru, toczącémi się przez bramy, stękała ziemia. Zgiełk, huk i wrzawa olbrzymio rosły. Zbrojna siła Wielkiego Sułtana okazała się w całéj świetności, tak co do wielkiéj ilości pysznych koni, bogatego rynsztunku, jakoteż wybornego wojska. Lud cisnął się do otwartych meczetów, dokąd Ulemowie dla ubłagania zemsty nieba na nieprzyjaciół Machometa, w największéj się udali uroczystości. Ale po domach płakały matki i dziewice za tymi, którzy się na śmierć poświęcili!

»Szczęśliwi, za którymi oko łzy roni!« rzekłem do Mustafy, który trzymał mi strzemiona, gdym na koń wsiadał. Smutek osiadł moje serce, i z westchnieniem stanąłem na czele Spahów do wyruszenia gotowych.

»Zatrzymaj się przyjacielu«, zawołał Mustafa. »Patrz, tam oto przez natłok ludu przedziéra się twoja matka; zapewne w téj uroczystéj chwili chce się jeszcze raz pożegnać z tobą.« I tak było w istocie.

»Andrzeju!« zawołała do mnie zadyszała; »przynoszę ci ostatnie pozdrowienie Heleny i błogosławieństwo macierzyńskie! Przebaczam ci wszystko, i składam dzięki za twoje spaniałomyślność ku mnie! O synu mój, tyś drogi sercu memu! Ale w księdze przeznaczenia stoi napisano, że spadniesz ze szczytu sławy twojéj, i że upadek twój śmierć mi przyniesie. Już się zgon mój zbliża — Andrzeju, synu mój«, dodała z trwogą, »odwołaj klątwę, jeżeliś ją w gniewie na moję głowę rzucił, bo ja błogosławię podróży twojéj!«

Wzruszony témi słowy schyliłem się ku nieszczęśliwéj i ze łzami w oczach ucałowałem jéj rękę.

»Boże, odpuść nam wszystkim winy nasze!« rzekł Mustafa uroczyście wzruszony do żywego.

»Amen! amen!« rzekła moja matka, która chociaż łez nie roniła, jednakże moim odjazdem boleśnie dotknięta była. Wetknęła mi w rękę amulet i dwa kwiaty; poznałem czyjeto dary dla mnie; znaczenie ich było smutne lecz niewątpliwe: Wierność niemająca żadnéj nadziei! Byłoto ostatnie pożegnanie Heleny! Dano znak do wyruszenia, ostatnie westchnienie pożegnania mego, zagłuszył szczęk oręża. Okrzyki mieszkańców Stambułu rozległy się w powietrzu, rozwinięto chorągiew proroka. Rozpoczął się pochód uroczysty a Mufty wszedłszy na minaret meczetu Machometa, wołał do nas donośnym głosem: »Niechaj tak przed wami znikną nieprzyjaciele, jak znika rosa, jak znikają gwiazdy przed wschodzącém słońcem; niech spisy wasze tak się świécą, jak świécą błyskawice z płomienistéj chmury; niech szable

wasze wyrównają sierpom żniwiaży a strzelby wasze będą gromem piorunów! Śród waszéj krwawéj pracy nie zapominajcie o Machomecie i o świętym zakonie jego; pamiętajcie, iż niewierni, których pozabijacie, służyć wam będą za stopnie, po których wejdziecie do nieba i wieczną szczęśliwością cieszyć się będziecie.«

Podczas téj mowy, która jakby głos z nieba obijała się o nasze uszy i przenikała serca nasze, postępowało wojsko w największéj cichości przez bramę miasta. Na czele jego wielki Wezyr otoczony od Baszów i dowódzców, jechał na spaniałym drogiémi kamieniami i złotem okrytym rumaku. Na zmarszczoném czole jego osiadła surowa ponurość, a ogniem wojny błyskało oko jego. Gdy Mufty skończył uroczystą mowę swoje, wielki Wezyr wróciwszy w próg miejskiéj bramy, rzekł:

»Niech się ta brama dla mnie na zawsze zamknie, jeżelibym przez nią jako zwycięzca nie wrócił!«

Tą przysięgą wydał sam na siebie wyrok; bramy Stambułu na zawsze się przed nim zawarły.

»Niechże ten sam los i mnie spotka«, rzekłem sam do siebie. — W głębokich myślach zatopiony jechał Soliman na czele naszém i zdawało się, iż płomienistém spojrzeniem chciał rozedrzéć chmury, które się nad państwem Machometa zebrały. Nikt się nie ważył wywodzić go z téj zadumy, i każdy starał się zachować największe milczenie. Ja w przekonaniu mojéj dobréj sprawy, czekałem spokojnie chwili, w któréj mnie przywoła do siebie, lub Ibrahima, który jeszcze w nocy z Stambułu wyruszył z swoim oddziałem. Wojsko nasze szło na północ ku Węgrom, gdzie sprzymierzeni carowéj zgromadziwszy swe zbrojne siły, w oblężeniu trzymali tureckie twierdze pograniczne. Po kilka-godzinnym marszu stanęliśmy na piérwszy nocleg w obozie, który dla rozprószonych oddziałów był oraz miejscem zgromadzenia się. Tu pod dachem letniego kijosku, wydawał wielki Wezyr poddowódzcom rozkazy swoje. Gdy koléj na mnie przyszła, był sam z Ibrahimem, który bez broni u boku, z krnąbrnym, w ziemię spuszczonym wzrokiem, stał przed swym ojcem jako winowajca. Soliman przyjął mnie jako sędzia wzrokiem surowym. Wysłuchawszy mojego sprawozdania o nocnym wypadku, wstał z miejsca i rzekł:

»Achmedzie, byłem ci winien wdzięczność moję, jak ojciec zlałem moję miłość na ciebie. Téj nocy dług mój zmazałeś, i wywiązałeś mnie z wszelkiéj powinności. Odebrałeś mi więcéj niźli życie mojego syna; tyś zamordował jego honor na zawsze. Wielki Wezyr przyganiać ci nie może, gdyż podług mojego sposobu myślenia postąpiłeś sobie szlachetnie; atoli ojciec zmuszony jest uchylić cię z swego pobliża, by nie był pobudzony do pomszczenia się za hańbę, którąś mu wyrządził. Oto masz firman Wielkiego Sułtana, który cię naczelnikiem korpusu Arnautów z nieograniczoną władzą mianuje. Będziesz podległy tylko moim rozkazom, jednakże w innym kierunku pójdziesz naprzeciw nieprzyjacielowi. Teraz sobie sam pomagaj; do mojéj miłości nié masz już prawa.«

»Spaniałomyślny panie«, odrzekłem wzruszony, »będę chętnie posłuszny twym rozkazom, chociaż mi już twoja życzliwość dawać ich nie będzie. Jakkolwiek obraza, do któréj mnie syn twój zniewolił, pozbawia mnie twojéj miłości, nigdy jednak surowość twoja nie zamknie serca mojego przed wdzięcznémi uczuciami dla swego dobroczyńcy. Jakikolwiek los dla mnie padnie, zawsze o błogosławieństwo nieba dla ciebie i twojéj rodziny błagać będę. W dowód tego podaję Ibrahimowi przyjacielską rękę i przyrzekam, że go jak brat wspiérać będę w tym boju, który rozpoczynamy.«

To rzekłszy, przystąpiłem do Ibrahima i wyciągnąłem ramię do pojednania; ale on odwrócił się odemnie, a wielki Wezyr wyrzekł surowym głosem:

»Biada synowi Solimana, który taką hańbę przebaczy! Idź do swego obowiązku Achmedzie. Jesteś mężem wojny, chociaż masz serce potulnego dziécięcia; co się Ibrahima dotyczy, widzisz, że nié ma broni, i że występuje z służby wojskowéj. Już się nigdy w jednym zawodzie nie zejdziecie, tylko się strzeżcie, abyście się już więcéj z sobą nie spotkali, gdyż wam przysięgam, iż nowa zwada tak zwycięzcy jak i zwyciężonemu, bramę do wiecznego raju otworzy!«

»Słuchać, być posłusznym, jest moją powinnością!« odrzekłem, i chwiejącym krokiem odszedłem od mego dobroczyńcy. Chociaż srogiego był charakteru, przecież z synowską miłością kochałem twórcę mojéj wielkości, i bardzo dotkliwą była dla mnie utrata jego łaski, któréj mi ani zaszczyt wojskowy ani świetność mojego stopnia wynagrodzić nie zdołały. Nieustannie wyrzucałem sobie, że w moich życzeniach nienasyconym jestem. Nie dopiąłżeś celu swojéj dumy? zapytywałem nieukojonéj méj tęsknoty; nie słuchająż tysiące twych rozkazów? nie jestżeś obsypany skarbami? nie czekająż twego skinienia rajskie rozkosze w zakresie twéj potęgi? O, zaiste, tyś nieszczęśliwy, a dusza twoja niewdzięczna za dobrodziejstwa, które niebo na ciebie zlało.

V.

Otrzymałem rozkaz, abym z korpusem ochotników, których pod znaki Wielkiéj Porty przywiodłem, ku Besarabii i Krymowi wyruszył i tam nieprzyjaciela w jego granicach nieustannie niepokoił. Z okrzykami radości przyjęły mnie te lekkie, bitew chciwe hufce. Wojna podjazdowa była ich żywiołem; na wszelkie niewygody i wpływ klimatu zahartowane, do najniebezpieczniejszych wypraw nawykłe, wyszczególnienia się i łupu chciwe, pogardzały życiem i szły na śmierć oczywistą. Nie długo trwało a dzika ich wesołość owładła i moje serce; pałając żądzą boju, honoru i rozkoszy, nie czułem téj głębokiéj rany, którą jeszcze niezgojoną z sobą niosłem. Na co się dusza moja własną siłą zdobyć nie mogła, w to przykład drugich pomocnie jéj posłużył. Nawet z mojéj czystéj, tęsknéj miłości, wylęgł się gad żądzy, powstał popęd zanurzenia się w słodkim odmęcie zmysłowości. Poważny kapitano, mój doradca, żywił wprawdzie święta skrę tajemnéj méj tęsknoty, jednakże rozkiełzany, wojenny sposób życia niósł mnie przemocą do szukania rozkoszy w prawdziwém znaczeniu islamizmu. Gdy Kapudan Basza zwidzał nieprzyjacielskie wybrzeża i flotą swoją panował morzu, my w tymże czasie zbliżaliśmy się do Prutu, Dunaju i Dniestru. Podstępując pod Krym i Kuban, spotkaliśmy nieprzyjaciela. Dzikim okrzykiem powitawszy jego grom działowy, bez wszelkiéj sztuki wojennéj i rachuby taktycznéj, spuszczając się jedynie na silne ramię, śmiałość wrodzoną, przebiegłość i nieustraszoność naszę, uderzyliśmy z radością na jego liczniejsze zastępy. Nasze natarczywe uderzenie rozbijało ciężkie masy nieprzyjaciela, łamało jego żelazne szyki, i śmierć mu niosło nawet w miejscach warownych. W każdéj bitwie odznaczając się osobistą odwagą, brałem rany i sławę. Wojenne czyny moje zaczynały brać nazwę cudów, a imię moje roznosiło postrach po krainie, w którą moje wojsko wchodziło. Tak pomyślnym skutkiem zakończyła się świetna dla mnie wyprawa. Zagarnąłem széroką przestrzeń kraju pod moję władzę, zamożne miasta otworzyły mi swoje bramy, bogate łupy dostały się w podział memu wojsku. Ale szczęście moje toczył skrycie robak głębokiego rozmyślania i wrodzonéj miłości bliźniego. Ten rozlew krwi bez celu, to krwawe rzemiosło wojny, ta wzmagająca się nędza niewinnych rodzin, a nakoniec ten rabunek i znieważanie domów bożych, niegdyś tak świętych dla mnie w moim wieku dziecięcym, okropnie ciężyły na sumieniu mojém. Któż odpowié za te liczne, krwią zbroczone ofiary? Czyjeż, choćby wieczne potępienie, spłaci te krzywdy? Któż powściągnąć zdoła rozhukane na łup i mordy dzikie hordy wojenne, i któż za ich zgrozy, okrucieństwa, rabunki i szkaradę przed Wszechmocnym zda sprawę? O jakże opłakania godnym jest los wielkości! Azaliż dyjamentowym puklerzem otoczone serce przed zgryzotą sumienia zasłonić się może! Nieszczęsne, okropne przeznaczenie świata, które dla tego tylko stosy z pomordowanych stawia, aby po nich żądza sławy i zaboru do szczytu swoich życzeń wdzierać się mogła! Te ciężkie myśli pogrążały mnie często w smutek głęboki. — Z wstrętem widziałem krew na mojéj szabli. Jęki umierających i rannych, niezliczone przekleństwa walczących i pokonanych, przerywały mój sen i brzmiały mi nieustannie w uszach; straszne katusze i srogie wątpliwości krwawiły serce moje. Szkaradne, mordercze sceny w dzikich postaciach snuły się około łoża mego; szczęk zaciekłéj walki przerywał moje tchnienie, z płaczem kłoniła się nademną luba postać Heleny i roniła rzewne łzy na rozognione lice, krwią zbroczonego naczelnika. A jednak z rozdartém tylko sercem byłbym się mógł rozstać z tym wojennym sposobem życia, z moimi chciwymi boju towarzyszami, dla których codziennie krew moję przeléwałem dla tego, że oni to samo dla mnie chętnie czynili, że mnie nad życie swoje kochali, że mnie jak Boga swego uwielbiali. Nic nie wyrównywało ich przywiązaniu ku mnie, ich gorliwości w usłużeniu mi. Krwią swoją opłacali wszystko, co się tylko do mojéj wygody przyczynić mogło. A gdy się chmura na moje czoło zatoczyła, ileż starań i zabiegów dla mojego rozweselenia nie robili! Lecz gdy nakoniec spostrzegli, iż się im to coraz rzadziéj udaje, wtedy naczelnicy i żołnierze zgromadziwszy się tajemnie, radzili między sobą, jakimby sposobem tego złego ducha, który wszedł we mnie, zakląć i wygnać zdołali. Po długich namysłach zaczęli być tego zdania, iż miłość jest główną mego smutku przyczyną.

Jednego wieczora, gdym chorując na lekkie rany, w moim namiocie bawił, przyprowadzili mi, jako brankę, dziéwicę rzadkiéj piękności. Branka ta z płaczem rzuciła się mi do nóg i błagała obrony. Gdym spojrzał w łzawe oko téj drżącéj niewolnicy, namiętne wspomnienia ocknęły się przemożnie w duszy mojéj. Byłto żywy obraz Heleny tak co do wzrostu, włosów i rysów twarzy, jak i co do młodocianéj, prawie dziecinnéj niewinności. Tylko na jasném jéj czole nie było jeszcze lekkiego cienia, tegoto błogiego poświęcenia doznanéj miłości, a żałości jéj schodziło na wyrazie owych słodkich

marzeń, których tęsknota serca źródlem, lecz niemniéj była piękną jak tamta. Na piersiach jéj wisiał krzyż jako znak wiary chrześciańskiéj, za przepaską tkwił sztylet, jednakże błagające jéj ręce zdawały się być niewprawne do téj broni. Zwała się Brygitą. Była córką poległego w boju starosty i z rodu Greczynka.

»Panie!« rzekła drzącym dziécięcym głosem, »broń mnie, zasłoń swoją mocą od zniewagi siérotę; jesteś młodym i zdajesz się być szlachetnym. Ach, puść mnie na wolność i nie dozwól, aby mnie oddano do haremu okrutnego Achmeda.«

»Mylisz się dziéwczyno«, odrzekłem z zapałem, »któžto śmié powiedzieć, że okrutny jestem?« Na te słowa podniosła się strwożona i patrzyła mi długo, z razu z bojaźnią, potém spokojnie w oczy.

»Tyś Achmed?« zapytała łagodnym głosem; »poznaję, że mnie oszukano, ty nie jesteś okrutnym!«

Słowa te z niewinnym wdziękiem wymówione, zachwyciły mnie. Przyrzekłem jéj obronę i wolność, skoro z niéj użytek zrobić się jéj podoba, zapewniając ją oraz, że nie mam innego haremu jak tylko czułe serce, a w niém żywe przypomnienie błogich chwil i gorącéj miłości ku dziewicy, która co do wdzięków i urody zupełnie jest do niéj podobna. Branka słuchała z uwagą mojéj mowy i dziękczynnym wzrokiem dziewiczéj niewinności odpowiadała na moje pochlébstwa. Bojaźń i tkliwe spółczucie malowały się na przemiany w jéj spojrzeniach — w sercu mojém jakaś niespokojność powstawać zaczęła. Nieśmiałość i pomieszanie, które na jéj twarzy spostrzegłem, owładły także i moję duszę; zdziwiony mojém wzruszeniem, umilkłem na chwilę. Brygita między ociąganiem się i pośpiechem chwiała się w niepewności. Nakoniec zbliżywszy się na pół kroku, i patrząc tkliwie w moje łzą zalane oko, rzekła:

»Tyś podobno nieszczęśliwy?«

»Być może, żeś i zgadła«, rzekłem z uśmiechem, starając się przytłumić moje wzruszenie.

»Ty nieszczęśliwym?!« rzekła z ządziwieniem, »ty, Achmed? ten sławny, dumny bohatér? tak młody a już—jakże nierozsądna była ta dziéwczyna, która miłości twojéj stała się niegodną.«

Zaledwie, że te słowa wyrzekła, już się ich żałować zdawała, i prosiła o przyrzeczoną wolność. Lecz w cóż jéj mogła posłużyć, gdy dóm jéj rodziców był zburzony, jéj przyjaciele rozprószyli się, lub na placu bitwy polegli. Załamując ręce z rozpaczą przyznała się przedemną, że jest opuszczoną siérotą, i w całym tym świecie nié ma nikogo, ktoby jéj dał przytułek. Ująwszy ją za rękę, starałem się uspokoić jéj rozpacz. Gdym uczuł, że nie uchyliła swéj ręki z mojéj dłoni, tkliwe wyrazy wymknęły się z drżących ust moich. Brygita spłonęła rumieńcem i rzuciwszy się przedemną na kolana przytuliła do nóg moich swe ciało i rzekła: »Achmedzie, jeźli mną nie pogardzasz, więc zostanę przy tobie jako twoja niewolnica, jako twoja sługa.«

Na te słowa podniosłem ją w moje ramiona, i byłem szczęśliwy. Oddanie się niewinnéj istoty w moję opiekę, wlało słodki, uspakajający balsam w burzliwe morze moich płomienistych uczuć. Z tém wszystkiém ciche westchnienia w głębi serca mego tęskniły za Heleną.

VI.

Kilka tygodni tylko cieszyłem się złudną swobodą mego szczęścia, niebo życia mego chmurzyć się zaczęło. Pomyślność mego oręża wzbudziła zawiść w Baszy, który obok mnie regularném wojskiem Jańczarów dowodził. Puścił on wolny bieg swojéj nienawiści, miotał najwyszukańsze obelgi na przybysza, którego przedmieście Pera tylko na to wydało, aby zgrają podłych wyrzutków muzułmański oręż znieważał. Znając moje niesnaski z synem wielkiego Wezyra, postanowił z nich korzystać, by się pozbyć nienawistnego spółzawodnika. Wypadki wojenne nadarzyły mu wkrótce sposobność do wykonania zamierzonego planu, przez który także od wszelkiéj odpowiedzialności za klęski swego wojska uwolnić się zamyślił. Morowa zaraza, liczne przegrane potyczki, jako skutek niewiadomości Baszy, znacznie przerzedziły jego szeregi, gdy tymczasem moje były zupełnie zdrowe i odnosiły zwycięztwo.—Zawistny moim pomyślnym sprawom wojennym i wzrastającéj sławie mego imienia, wydał mi rozkaz, abym moje oddziały z jego wojskiem połączył. Lecz ja będąc przekonanym, iż to osłabiłoby siły moich zastępów, odwołałem się do zabezpieczonéj mi przez samego Sułtana mojéj niepodległości i nie usłuchałem jego rozkazu. Wypadek ten skłonił Baszę do zatrzymania mojemu wojsku żołdu, który i tak już bardzo rzadko i nie całkowicie był wypłacany. Moje otwarte postępowanie stłumiło na czas niejaki oburzenie wojska, lecz wzmagający się niedostatek, przykra pora roku i trudy wojenne zmusiły nakoniec zniechęconych żołniérzy do podniesienia buntu. Na raporty, które posyłałem do wielkiego Wezyra, nie odbiérałem żadnéj odpowiedzi; a tak położenie moje stawało się coraz przykrzejszém. Ani moje upomnienia, ani surowość

nie mogły już utrzymać na wodzy niegdyś zawsze mi posłusznego wojska. Rozpierzchło się częścią dla szukania sobie zdobyczy, częścią dla odebrania zasobów Jańczarom, którzy się z ich nędzy urągali. Wzmagające się z każdym dniem nieposłuszeństwo, spiski i bunty, zbliżały cały korpus do zupełnego rozprzężenia. Będąc pozbawiony środków utrzymania go w kraju przezemnie zdobytym a przez Jańczarów spustoszonym, nie byłem w stanie nawrócić w karby posłuszeństwa rozhukaną hordę, zwłaszcza, iż przy słusznych jéj zażaleniach, sumienie moje ostréj kary użyć mi nie pozwalało. Z smutkiem patrzyłem na zniszczone moje znaczenie i upadającą potęgę, która tak ważne Wielkiéj Porcie przyniosła korzyści. Jakże wątłe są podpory wielkości i sławy, gdy je podłe podstępy jednéj nikczemnéj duszy tak łatwo obalić mogą! Wszystkie moje zasługi okryje hańba, i zniewaga spotka moje imię, myślałem sobie, jeżeli się na tém mój zawód zakończy! O pycho bohatérów, jakże znikome są twe nadzieje, jak marne twoje dzieła! Tak mówiąc w smutku sam do siebie, przypomniałem sobie nieszczęsną wróżbę mojéj matki.

W tém przyszli do mnie naczelnicy przerzedzonego mego wojska, i żądali odemnie rozstrzygnienia swojego losu.

»Panie«, rzekli do mnie, »my kochamy cię jako walecznego bohatéra i pójdziemy z tobą wszędzie na śmierć i na wszystkie niebezpieczeństwa. Ale prowadź nas do sławy i zdobyczy. Uderz z nami na tego zdradzieckiego Baszę, zniszcz jego potęgę i zatknąwszy jego głowę na kopii, przejdź z nami do nieprzyjaciela.«

Ze wzgardą odrzuciłem ich wniosek i starałem się jeszcze raz doświadczyć dzielności mojéj wymowy. Lecz niestety! wkrótce poznałem, jak bezsilne są jéj sposoby, skoro samolubstwo przełamać usiłuje. Z trudnością wymogłem na naczelnikach, że odłożyli wykonanie swego zamiaru, dopokąd ja sam sprawiedliwych zażaleń u stóp tronu nie złożę. List od wielkiego Wezyra przesłany mi przez Baszę, utwierdził mnie jeszcze bardziéj w tém postanowieniu.

»Jeżeli czujesz się być niewinnym«, pisał do mnie wielki Wezyr, »jeżeli rzeczy tak się mają, jak mi o nich donosisz, przyjedź więc niezwłocznie do Stambułu i oznajm Jego Wysokości o twojém położeniu.«

Natychmiast postanowiłem usłuchać jego rady dla zniweczenia wszelkich przeciw mnie podstępów, lecz mój doradzca i przyjaciel kapitan, zaklinał mnie, abym bez zwłoki uciekał i nieprzyjaciół pomście nieba zostawił.

»Nigdy tego Achmed nie uczyni«, odrzekłem z gniewem; »jeżeli Opatrzność dla mnie upadek przeznaczyła, więc zginę jako mąż. Achmed nie przeżyje straty swego honoru.«

Ze łzami pożegnał się ze mną kapitan, jakoż i mnie samemu, gdym się z mymi towarzyszami wojennymi rozstawał, było niewymownie ciężko na sercu. Ostatnie pożegnanie się z Brygitą, którąm opiece kapitana powierzyć musiał, zmiana losu mego, w smutek ją pogrążyły; lecz dotkliwszém dla niéj nieszczęściem była tajemna moja tęsknota, któréj przyczynę częścią zgadywała a częścią już znała. W sercu mojém ciągle jeszcze tkwił obraz Heleny; jednakże żałość, z jaką się Brygita ze mną rozstawała, do żywego mnie wzruszyła. Ubolewałam, żem ją ogniwem zrobił mego losu, który smutny obrót brać zaczynał. Nie życzyła ona sobie bynajmniéj powrócić do swojéj ojczyzny, i owszém żądała podzielać ze mną wszelkie koleje mego losu.

»Panie«, rzekła z płaczem, »chceszli, abym poszła od ciebie, każ zamknąć przedemną drzwi twego domu. A jeżeli nie chcesz tego uczynić, więc będę na ciebie czekała, choćbyś aż po kilku leciech powrócił.«

Wybrawszy sobie trzydziestu najwaleczniejszych i najwierniejszych wojowników, puściłem się w podróż do Stambułu. Skoro Basza o tym wypadku się dowiedział, natychmiast wysłał gońca do Konstantynopola, dla zabieżenia swojém doniesieniem memu przybyciu. Atoli nieszczęście obudziło we mnie chytrość staro-heleńską, za pomocą któréj postanowiłem odważnie stawić czoło niebezpieczeństwu. Wysłani na zwiady żołniérze moi, schwytali gońca i odebrali mu depeszę.

»Przyjaciele«, rzekłem do moich towarzyszów pokazując im list do Sułtana, »tę depeszę złożę sam u stóp tronu Abdul-Hamida.«

Z tém wszystkiém wyznać muszę, iż nadzwyczajne wypadki w całém życiu mojém niweczyły wszystkie moje układy; tylko grecka chytrość posługiwała mi w chwilach najgroźniejszego niebezpieczeństwa, jak nagła pomoc złego ducha. Gdy okryty kurzem z moimi towarzyszami przybyłem do Stambułu, właśnie obchodzono święto *Bajramu*. Dla tego na odległych przedmieściach wyludnione były ulice. Cichy wjazd mój zwracający tylko podziw Żydów, żebraków i psów włóczących się po ulicach, sprawił na mnie przykre wrażenie! Starałem się rozerwać dla zatarcia w pamięci przeciwności mojego piérwszego a teraźniejszego wjazdu. Wdałem się więc z niektórymi przechodzącymi w rozmowę, wywiadując się o wypadki w mieście. Szczególniéj zwróciła na siebie moje oczy, pewna stara

Greczynka, która trzymając różaniec w ręku, na jedne nogę utykała.

»Szczęśliwyś Achmedzie!« rzekła witając mnie, »właśnie w porę z wiadomością zwycięztwa do Stambułu przybywasz. Wszyscy Muzułmanie obchodzą dzisiaj uroczyste, radośne święto, a smutek chroni się u biédnych Rajasów, którzy z spaniałości twéj żyją.«

Znałem tę niewiastę, była ona z przedmieścia Pery. Chciałem ją pominąć bez wszelkiéj odpowiedzi, ale zwijała się tak skrzętnie na szczudle około mego konia i okazywała z pewnym wyrazem złośliwości tak wielką chęć udzielenia mi jakiéjś wiadomości, iż mnie mimowolnie zdjęła ciekawość dowiedzieć się, co mi téż powié. Powitałem ją więc nawzajem i niewstrzymując mego konia, zapytałem:

»Co słychać w stolicy?«

»Panie«, odrzekła ochoczo skacząc na szczudle Sybila, »tu słychać same wesołe wypadki. Od czasu jak wojna wybuchła, nieszczęście do ciebie się tylko przeniosło, w Stambule przebywają sami tylko szczęśliwi zacząwszy od Wielkiego Sułtana, aż do psa, który okruszynami się żywi. Tu idzie wesele po weselu mój panie!« To rzekłszy umilkła na chwilę, i ciesząc się w duszy tajemnémi myślami, roześmiała się jak straszydło. »Najszczęśliwszym ze wszystkich«, rzekła nakoniec z iskrzącém, przeszywającém okiem, »jest Greczyn Agapulos, bogaty kupiec, który Helenę, córkę *drayomana*, poślubi. Szczęśliwa dziéwczyna, która się takim zalotnikiem radnje. Lecz słychać, iż narzeczona nie skłania się w to zamęźcie. Mówią o tém w całym Stambule, gdyż powszechnie jest znana z swéj piękności!«

Z gniewem spiąłem ostrogami konia i natarłem na tę kłamliwą czarownicę — lecz mi nagle z oczu zniknęła, i tylko szyderski śmiéch jéj obił się o me uszy.

»Biada mi!« rzekłem w zagłuszeniu zmysłów, »jeżeli to nie szatańskie mamidło.«

Wypadek ten, który potężnie wstrząsł mojém sercem, wprawił mnie w największe pomieszanie. Zaledwie straże stojace przed pałacową bramą oznajmiły moje przybycie, już spostrzegłem w przygotowaniach spełnienie nieszczęśliwéj wróżby. Gdym zsiadł z konia, otoczyła mnie straż honorowa, i wezwano mnie przed sąd do Wielkiego Sułtana. Po wszystkich przysposobieniach i nieszczęście zapowiadających twarzach Bostandzów i Kulbuk-wezyrleryjów, posiadających zaufanie Baszy i prowadzących mnie do seraju poznałem, iż mnie zgubić postanowiono, gdyż honory, które dla mnie okazywano, były tylko zwyczajném przyozdobieniem ofiary. Rozstawione straże czuwające nad każdym moim krokiem, uważały i w znaczenie brały każde poruszenie méj twarzy. Ani na chwilę nie wątpiłem o mojém niebezpieczeństwie, które zamaskowane obłudną uprzejmością, z tygrysiém okrucieństwem na mnie czyhało. Z rozpaczą ujrzałem się strąconym ze szczytu méj wielkości. Z łatwością nasunął się mi na myśl łańcuch nieszczęśliwych stosunków, które mnie do upadku przywiodły.

Wielki Sułtan życzył sobie mówić ze mną i śród podrzyźniających mnie honorów, kazał się mi stawić w seraju. Z trudnością udawałem niewiadomego, gdyż wiedziałem dobrze, iż najmniejszy znak obawy zgubić mnie może. Straż honorowa chciała mnie wziąć we środek, atoli ja nie zaniedbałem na przeciw niéj przybrać postawy przynależnéj największemu ulubieńcowi Wielkiego Sułtana, i tém ją zmiészałem. Surowém słowem naczelnika, kazałem jéj iść naprzód, a sam postępowałem za nią z moimi towarzyszami. Gdy stósownie do zwyczaju zsiadłem z konia przed bramą seraju, dałem im znak potajemny, iż dobycie méj szabli będzie dla nich hasłem, by mi w pomoc przybyli. Dumny i pochmurny ich wzrok rzucany na Jańczarów, którymi pogardzali, był mi rękojmią ich posłuszeństwa. Mocnym krokiem przeszedłem przez straszną bramę ***Orta-Kapu*** po przed ***Dżelad-Odassy***, gmach kata, i nie omieszkałem zwrócić uwagi mych towarzyszy na okropne tego miejsca znaczenie. Pod sklepieniem téj bramy, stósownie do starego zwyczaju, chwytano niespodzianie w niełaskę popadłych ulubieńców Sułtana, i natychmiast gardłem karano. Niejedna głowa spadła z karku w tém miejscu. W milczeniu zaprowadzili mnie Kapidży-Baszowie do małéj posłuchalnéj sali Wielkiego Sułtana. Wystąpiłem przed niego z dokumentami mojego usprawiedliwienia. Sułtan nie rzekłszy ani słowa przypatrywał się méj postaci, a nakoniec pochmurnym wzrokiem dał znak swemu powiernikowi. Poczém tenże zaczął mi dawać zapytania, z których każde wyrok śmierci zapowiadało.

»Pochodzisz z Rajasów?«

Potwierdziłem skinieniem głowy.

»Jesteś pod nieszczęsną wróżbą na przedmieściu Pera zrodzony?«

Na to zapytanie nic odpowiedzieć nie mogłem.

Pytający dawszy mi skinieniem głowy do zrozumienia, że to jest rzeczą niewątpliwą, mówił dalej: »Wymową swoją przywiodłeś buntowników do pozornego posłuszeństwa, a potém w wyprawie przeciw niewiernym, puściłeś im bezkarnie ich rabunki, i dozwoliłeś targnąć się na Jańczarów.«

»Wstrzymaj się panie!« przerwałem mu mowę, »nie miotaj potwarzy na rzetelnego męża, badanie twoje jest nieważne, gdyż w niem poznaję mego najzaciętszego nieprzyjaciela i obłudnego spółzawodnika Ibrahima.«

Byłto w saméj istocie syn wielkiego Wezyra. Szyderski uśmiech przemknął po jego złośliwej twarzy, gdy spostrzegł, żem go poznał, gdyż bezwładny gniew mój nie był dla niego już strasznym. Z pewnością bezwstydnego zausznika, który pod moc swoję podbił namiętności swojego władcy, zwrócił się z zapytaniem do Sultana, a ten spokojnie i łaskawą miną rozkazał mu, by dalej wiódł badanie. Byłyto same kłamstwa i nikczemne potwarze.—Nie odpowiedziałem na żadne i prosiłem, by mi wolno było przed innym usprawiedliwić się sędzią.

»Jako, ty poważasz się urągać słońcu sprawiedliwości wszystkich śmiertelnych?« krzyknął Ibrahim z obłudném oburzeniem. »Niech Wasza sułtańska Mość wyda wyrok na tego zdrajcę!«

Wielki Sułtan ruszył z gniewem nogą.

»Oddal się nieszczęśliwy!« rzekł Ibrahim, jako tłumacz tego skinienia, »i oczekuj w swoim domu rozkazów Jego sułtańskiéj Mości.

Temu umiarkowanemu rozkazowi towarzyszył uśmiech złośliwy. Zacięty nieprzyjaciel mój zdawał się unosić niewymowną radością a Sułtan toczył ponurym wzrokiem, który nieszczęście zapowiadał. Każde jego spojrzenie zdawało się mi być katowskim ciosem dla mnie. Los mój widziałem już przed oczyma. Rzezaniec wyprowadził mnie z pałacu Odassys na dziedziniec i dał skinienie odźwiernym w *Orta-Kapu*. Domyśliłem się jego znaczenia! Byłato brama prowadząca z tego świata na drugi, którą dla mnie otworzyć miano. Lecz ja nie przygotowałem się do odbycia téj straszliwéj podróży. Sardonicznie uśmiechająca się twarz oprawcy stojącego u bramy, gdzie krwawą powinność wykonywał na tych, którzy podobnie jak ja, w niełaskę popadli, w pobliżkości ogromny moździerz, w którym buntowników na miazgę tłuczono, nakoniec niespokojne miny dozorców i straży, przeraziły mnie zgrozą na widok niezasłużonéj śmierci. Żądza zemsty i wewnętrzne oburzenie się zaiskrzyły odwagą rozpaczy przemyślną chytrość sprawiedliwego gniewu. Im większe groziło mi niebezpieczeństwo, im niepodobniejszém do prawdy zdawało się być moje ocalenie, że sam jeden zostawałem pośród tysiąca uzbrojonych i odcięty od garstki wiernych mych towarzyszów, tem większa rosła we mnie śmiałość do pokonania tak groźnego niebezpieczeństwa. W tej chwili najokropniejszego ucisku nie liczyłem na pomoc z nieba, które mnie opuszczać się zdawało, tylko na moję własną siłę, a w śmiałości mojéj miałem nadzieję, że z tego nieszczęścia się ocalę. Powiodłem na około wzrokiem dla znalezienia środka do ucieczki; lecz spostrzegłem tylko samych niewolników dających baczność na każde moje poruszenie i ujrzałem dzikiego wierzchowca Wielkiego Sułtana, którego po dziedzińcu oprowadzano. Brama wiodąca z dziedzińca nie była jeszcze zamknięta, a tuż za nią stali dowódzcy mego przybocznego orszaku w trwożliwém oczekiwaniu mego rozkazu. Zaledwiem pomyślił, jużem dał im znak umówiony i rzuciwszy się nagle z dobytą szablą na niewolnika, który wiódł konia, jużem był w siodle i panem rumaka. Jego dzikość poszła mi w pomoc, gdyż szarpnąwszy głową z całéj mocy, wyrwał się z rąk niewolnika i tém zhukany, puścił się pędem wichru w oścież bramy, gdzie moja straż przyboczna na Janczarów się rzuciła. Okropny wrzask rozległ się po całym gmachu szczęśliwości; nie minęła chwila, a już trupem legła straż stojąca przy bramie a ja byłem ocalony. Koń Wielkiego Sułtana jak lot łyskawicy, mknął po przed oczy zdziwionych mieszkańców Stambułu, a waleczni towarzysze moi w poszarpanéj i krwią zbroczonéj odzieży, gnali na wyścig w ślad kopyt jego. Że bramę *Orta-Kapu* śród zaciętéj walki zamknięto, a nikt z naszych nieprzyjaciół nie był na koniu, przeto w tej chwili nikt za nami w pogoń pójść nie mógł, a tym, którzy nas spotkali, samo już zdziwienie, w pogoń iść przeszkodziło. Gdy wystrzały z dział o tym nadzwyczajnym wypadku z wałów oznajmiły, jużeśmy byli za bramami Stambułu. Wieść o naszéj dziwnéj ucieczce zdawała się mieszkańcom miasta być baśnią; choć nas uciekających widzieli, przecież w to uwierzyć nie mogli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 4. i obejmuje: 1) O uprawie tytoniu. 2) O sposobie suszenia budulca, przez Petersena. 3) Artykuł konkursowy i rozprawa o fabrykacyi cukru z buraków, ogłoszone przez Edwarda hrabię Raczyńskiego. 4) Uwagi Przemyślanina nad gorzelniami. 5) Niezmienna i ogniu niepodlégająca kompozycyja do pokrycia dachów. 6) Wiadomości czasowe. 7) Korespondencyja.

Numer 3. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego pr. Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Dziennik z dwóch dni, przedzielonych czterdziestą latami. 2) Ustęp z nowego dramatu, przez Dominika Magnuszewskiego. 3) Nieodstępny przyjaciel, powiastka. 4) Teatr.

Z drukarni St. Gieszkowskiego w Krakowie wyjdzie wkrótce nowe dziełko, przez jednę z młodych Polek oryginalnie napisane, pod nazwą: *Dwie epoki mego życia*. Z tak niewinną prostotą, i razem z tak pięknym talentem skréślonych obrazów, pełnych prawdy i życia, niełatwo znaleźć można w tej części literatury naszéj.

W Warszawie przedstawiono w zeszłym miesiącu nową oryginalną dwu-aktową komedyję wierszem, pod nazwą: *Krewni*, która się podobała. Autorem jéj jest Stanisław Bogusławski, tamtejszy artysta dramatyczny, znany z dawniejszéj komedyi swojéj: *Stara romantyczka*.

Szyller na scenie francuzkiéj. Na teatrze *Français* w Paryżu przedstawiono przekłada pan Lebrun »Maryję Stuart« Szyllera, trajedyję, która przez lat dwadzieścia w zapomnienie poszła; Panna Rachel, wybrała sobie głowną rolę na wystąpienie po raz piérwszy w sztuce, która nie należy do rzędu tak zwanych trajedyi klasycznych teatru francuzkiego, lecz stanowi przejście do szkoły romantycznéj. Wszelako przedstawienie sztuki téj nie powiodło się, panna Rachel nie podobała się i zdaje się, iż przez to niemały uszczérbek na swojéj artystowskiéj sławie poniosła. W roku 1820 jenijalna gra Talmy, przedstawiającego Lejcestra, i szlachetna sentymentalność panny Duchenois, jako Maryi Stuart sprawiły, iż trajedyja ta pomimo liche tłumaczenie, była ulubioną od publiczności. Gdy zaś teraz niektórzy francuzcy krytycy a między nimi pan Janin niepomyślny skutek przedstawy chcą jéj autorowi przypisać, jestto tylko dowodem, jak mało dziennikarze francuzcy znają się na rzeczach, o których wyrokują. Pan Lebrun w swojém tłumaczeniu zaledwo oddał szkielet Szyllerowskiéj Maryi Stuart, na duszy i poezyi zupełnie jéj zbywa. Już w roku 1820, gdy tłumaczenie to Talma i Duchenois przez swoję grę podnieśli, literaci niemieccy, będący na tém przedstawieniu, oświadczyli publicznie, iż Muza pana Lebrun bynajmniéj nie

jest zdatna do dania Francuzom jakiegokolwiek wyobrażenia o tym niemieckim narodowym poecie, a przecież p. Janin opierając się na lichém tłumaczeniu, poważa się rzucać klątwę pryskającém piórkiem swojém na Szyllera, z którego ideami ani się zmierzyć, ani ich pojąć nie zdołał! »Szyller« mówi Janin, »mimo jenijalność swoję, mimo dar wynalezienia osnowy i scen mięszczących wszelkie zalety historyka, jest tylko niezręcznym złodziejem Szekspira. Przestrach u niego jest ślepy, politowanie sztuką nadrobione, zapał kłamliwy, łzy pośród wszelkich uczuć fałszywych wymuszone, błyśnie on niekiedy poezyją, lecz ta, jak prędko powstaje, tak jeszcze prędzéj gaśnie, a dramat jego do martwoty powraca.—Szyller był niegdyś komedyjantem!!! i grywał w obec niespokojnych uniwersytetów niemieckich, gdzie ideałem zbójeckiéj tragedyi swojéj: Karol Moor, młodzież do rozruchów pobudzał. — Maryja Stuart jest najsmutniejszém, najlichszém, najfałszywszém i najnudniejszém z wszystkich arcydzieł zagranicznych.« — Tak mówi o Szyllerze najsławniejszy krytyk francuzki! Któż z nami na to nie powié:

Oto mi Kozak! śmiało robi piką,
Onby na słońce porwał się z motyką!

Henryk Mondeux. Pisma francuzkie podają niektóre szczegóły o młodym Henryku Mondeux, nadzwyczajnym jenijuszu rachunkowym. Henryk Mondeux jest synem bardzo ubogich wyrobników z Touraine i w dziecinnym wieku swoim pasł trzodę. Jak niegdyś Giotto, który pasąc kozy, kreślił ich postacie na piasku, a później został sławnym malarzem, tak i Mondeux pasąc bydło zbiérał kamyki, i tym sposobem wynalazł sposób rachowania. Za pomocą pamięci przyprowadził do tego, iż lata, które różne osoby mu wymieniały, na godziny, minuty, sekundy i tercyje podzielić umiał. Za tę czynność otrzymywał czasem małe podarunki. W krótkim czasie zaczął słynąć z téj zdatności po okolicy, nie zbywało nawet na dobroczyńcach, którzy mu troskliwsze wychowanie dać zamyślali; atoli umysł jego tylko li do oderwanych umiejętności był zwrócony, niepodobna było wpoić mu w pamięć nawet abecadła. W siódmym roku opuścił włość, z której był rodem, a po śmierci matki, dostał się w okolice Montluis do macochy, która się tak źle z nim obchodziła, iż nieraz z ojcowskiego domu uciekać musiał. Wtedy pewna uboga niewiasta, cierpiąca obłąkanie zmysłów, dawała mu zwykle pożywienie i przytułek u siebie. Zdarzało się także, iż w pobliżu mieszkający obywatele wzywali go do siebie, aby swemi rachunkami towarzystwo zabawiał. Nakoniec starszy brat jego oddał go za owczarza w okolicy Tours, gdzie brał rocznie trzy pary trzewików drewnianych, a do razowego chleba czasem mu także w przysmak czosnku dawano. To miejsce było początkiem jego szczęścia. Jednego dnia zgubił pewną rzecz swego rzemiosła, która lubo ani kilku groszy wartości nie miała, przecież do wynagrodzenia jéj nie miał żadnéj nadziei. Chodził więc z płaczem za swoją trzodą; w takim stanie spotykają go damy, a dowiedziawszy się o zgubie, cieszą go ile możności: »Ach łaskawe panie«, odrzekł Mondeux, »gdybym ja tak dobrze zgadywać umiał, jak umiem liczyć, nie potrzebowałbym tak długo szukać mojéj zguby.« Ciekawością zdjęte damy zaczęły go wypytywać; nakoniec jedna z nich oświadczyła, że ma lat 19; natychmiast odrzekł Mondeux, »iż dziewiętnaście lat 599,868,000 sekund zawiera.« O tym ostatnim wypadku doniesiono akademii paryskiéj; pokazało się, iż chłopiec ten chociaż z ułamkami bynajmniéj nie był obeznany, ani o jednę sekundę się nie zmylił. Kazano go szukać i znaleziono go w zamyślonéj postawie i z zwróconémi w niebo oczyma. Chłopiec spostrzegłszy zbliżających się akademików, zapytał ich »która jest godzina?« Akademicy odrzekli, »że jest połowa trzeciéj części trzech ćwierci godzin dwunastu.« Chłopiec odpowiedział natychmiast, »że jest pół do drugiéj, i powiedział prawdę. Akademicy wzięli go z sobą i od tego czasu zaczęto mu dawać troskliwe wychowanie. Olbrzymim krokiem przeszedł on zawód umiejętności matematycznych; nie jestto prosty rachmistrz z pamięci, lecz ukończony matematyk, który teraz w dwunastym roku swego życia wynachodzi nowe formuły, uproszcza starą i może nawet nową drogę w tym zawodzie ludzkiéj wiedzy utworzy. W innych przedmiotach postępował z trudnością; i tak do nauczenia się czytać i pisać potrzebował ośmnastu miesięcy; również trudno mu było przyzwyczaić się do karności instytutu wychowania i porządku społeczeńskiego życia. Henryk Mondeux ma odznaczające się rysy twarzy, szérokie wypukłe czoło, nader ruchliwe oczy i wązko wcięte usta.

Heroizm wstydliwości niewieściéj. Gdy domowa wojna przez długi czas Hiszpaniję pustoszyła, król Piotr, któremu książę Walii przysłał zbrojne posiłki, odniósł nakoniec zwycięztwo nad spółubiegającym się o koronę kastylijską, Henrykiem Trostamara z domu Guzmanów. Matka jego była niegdyś przyboczną kochanką ojca króla Piotra, a teraz syn jéj wiódł z nim spór o koronę. — Zwycięzca, który nietylko od spółczesnych ale nawet od dziejopisów, wyrokujących bezstronnie o jego czynach, słusznie srogim nazwany, był bardzo mściwego charakteru; jakoż pastwił się na każdym, nawet najniewinniejszym członku familii Guzmanów i krew ich przeléwał. Gdy zjechał do Sewilli, gdzie mieszkała stara, bardzo szanowna matrona, matka Don Juana Alfonsa de Guzman, pierwszą jego czynnością było wywrzéć na niéj swą zemstę. Na rozkaz jego osadzono ją w więzieniu i wydano wyrok, aby na stosie spaloną była. Na otwartym placu w Sewilli wzniesiono stos i postawiono na nim skrępowaną matronę. Służebnice towarzyszyły jéj aż na plac śmierci, poczém się oddaliły, a łzy ich połączone były ze łzami wielu osób z ludu, które ta nieszczęśliwa matrona w czasie swojéj pomyślności wspierała. — Już stos się zajął, już syczy płomień w około nieszczęśliwéj; aż oto zrywa się wichr gwałtowny, i ciało jéj przed wszystkiémi widzami odsłaniać zaczyna. To widzi jedna z najwierniejszych jéj służebnic, pokojowa Izabella Davalos; czując najmocniejsze przywiązanie ku swojéj pani, bieży z pośpiechem do stosu, wdziéra się nań, uklęka przy swojéj pani, obejmuje rękoma jéj szatę, którą wiatr był w górę podniosł, osłania ją, i tym sposobem razem z nią w płomieniach ginie. Co za poświęcenie się! Co za uczucie wstydliwości niewieściéj! — Familija Guzmanów kazała zebrać w jednę urnę obiedwóch tych szanownych niewiast popioły i złożyła je w okazałéj kaplicy, w kościele świętego Izydora w Sewilli; na marmurowym pomniku wyobrażony jest ten prawdziwie wzniosły wypadek. Widać na nim przed matroną dziewczynę klęczącą, która śród płomieni do niéj się tuląc, szatami ją osłania. Tak uczcili spółcześni pamiątkę tego wielkiego czynu; lecz familija Guzmanów dała jeszcze szlachetniejszy dowód swojéj wdzięczności, włożyła bowiem na każdego członka swéj rodziny obowiązek, aby nigdy żadnego potomka z domu Davalos nie opuścić w potrzebie, choćby to nawet największéj ofiary wymagało.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.